21. Maja. **Nr. 28.** 1868 roku.

Wychodzi 1. 11. i 21. każdego miesiąca
(cztery arkusze druku.)

Cena:
kwartalnie . . . . . . 1 złr. 15 ct.
półrocznie . . . . . . 2 „ 30 „
rocznie . . . . 4 „ 60 „

Cena nn. z roku ubiegł. z przesyłką 60 ct.
— z dodatkiem 1 złr. 10 ct.

NOWINY

Listy *franco* przysyłać należy:
„Do wydawnictwa „Nowin" we Lwowie
w drukarni Kornela Pillera.

Reklamacje nieopieczętowane nie opłacają się.

Ekspedycja i prenumerata miejscowa
w Administracji „Gazety Narodowej."

PO MORZU ŚRÓDZIEMNEM.

Obrazy z podróży

przez J. T.

VII.

Na drugi dzień rano siedliśmy z kapitanem do czekającej na nas łodzi i odpłynęliśmy do okrętu. Było to więc powtórzenie wczorajszej przejażdżki, z tą różnicą, że dzisiejsza była bez powrotu. Na Bosforze pod łagodnemi promieniami rannego słońca, wszystko żyło, ruszało się, cieszyło się promiennem słońcem i spokojnemi niebieskiemi falami Bosforu. Mijaliśmy kaiki, łodzie, parostatki; wreszcie ruch zaczął ustawać i kiedyśmy wpłynęli na morze Marmara, byliśmy już sami wpośród tej wielkiej i pięknej sadzawki morskiej.

Jak tylko spostrzeżono na okręcie łódź naszą, zabrano się do rospostarcia żagli. Wkrótce przybyliśmy do okrętu i po wejściu nań mój signor Giovanni wezwał mię do zupełnego i jak najswobodniejszego rozgospodarowania się.

Zaprowadził mnie naprzód do dolnej kajuty, która miała mi służyć za miejsce spoczynku. Połowę tej kajuty zajmowało łóżko, materacami wysłane, w drugiej połowie można było zaledwie parę kroków postawić. Obok łóżka stała szafka oszklona i siecią drucianą opatrzona, a nad łóżkiem wisiało kilka ładnych sztychów przedstawiających Jowisza z umiłowanemi przez się ziemiankami i inne postacie mytycznej Grecji. Ale wszystkiego tego nie mogłem z bliska rozglądnąć, gdyż kajuta była prawie całkiem ciemną, niemiała bowiem żadnego okienka i tylko pożyczała trochę światła z przyległej obszernej, środkowej kajuty.

— A teraz — rzekł mi wesoło mój kapitan — zrzuć pan ten niewygodny strój lądowy i przywdziej jaskrawą koszulę majtka, jaką ja zaraz przywdzieję. Poczujesz się pan zaraz lżejszym i swobodniejszym, poczujesz pan wtedy dopiero całą niezależność życia morskiego, które ma tylko rachować się ze słońcem u góry, z wiatrem w poziomie i z falą u dołu. Wszystko co po zatem, jest niczem — rękawiczek nie nosimy.

Usłuchałem natychmiast wesołego wezwania, przywdziałem podaną mi kolorową koszulę i wyszedłem na pokład. Wiatr morski przebiegł po pokładzie, uderzył w pierś moją i załechtał ją przyjemnie. Uczułem się dziwnie lekkim i swobodnym. Dokoła na pokładzie trwał ruch i krzątanie się przyodjezdne. Okręt nasz już się bystro posuwał, wiatr był pomyślny, więc coraz to nowe żagle rozwieszano i coraz szybciej płynęliśmy. Minarety stambulskie mierzchły i rozpływały się w powietrzu.

Nazajutrz mijaliśmy Dardanele. Jest to niewielka mieścina, malowniczo rzucona na dość stromej pochyłości brzegu. Wysokie, czerwono-płowe domy cisnęły się ku sobie zrzadka wieńcami ogrodów przedzielone — kilka minaretów piętrzyło się w górę tak monotonnych i tęsknych jak jęk muezzina, jak każda melodja Wschodu. Jakiś smutek, jakaś dzika tęsknota wiała mi od tej mieściny tureckiej.

Przebywszy Dardanele znaleźliśmy się w Archipelagu. Serce mi silniej w piersi zabiło, gdyśmy wpłynęli na tę arenę morską Hellady. W szmerze fal, w poszepcie wiatru, w promieniach słońca nawet odczuwałem jakieś dalekie echa antycznej przeszłości. Ale pragnąłem wyraźniejszych wspomnień, szukałem chciwie oczyma wyraźniejszych śladów i tych nie znajdowałem.

Z początku płynęliśmy brzegiem Azji. Brzeg tu niski odarty z roślinności odkrywał nam wprawdzie obszerny krajobraz, ale widok ten zdolny był tylko smutek i zadumę nawołać. Tu niegdyś roiło się życie Azjatyckich Greków, tak dzielnie współzawodniczących ze swoją metropolią, tak mądrych, tak gospodarnych, tak często dających wzory całej Helladzie. To życie znikło bezpowrotnie i cóż natomiast? Brzeg Azji długiem, smętnem westchnieniem odpowiedział mi: pustynia.

— Patrz pan — rzekł kapitan, stając koło mnie i opierając się obiema rękami na poręczy okrętowej. — Patrz pan, tu stała Troja. Pokazują jeszcze kamienie, które mają być zabytkami tego przedwiekowego miasta.

A więc tu stała Troja? Więc tu odegrywał się krwawy dramat Iliady? Więc to na tej scenie występowały najpierwsze bohaterskie postacie Grecji, przechowane w poezji i plastyce i przekazane najpóźniejszym wiekom? Te pytania wraz z oczyma wysłałem ku wskazanemu brzegowi; oczy przyniosły mi nazad tę samą odpowiedź: pustynia.

Wrażenie, którego doznajemy na widok miejsca uświetnionego niegdyś wielkiemi wypadki, jest prawie koniecznie smutnem. Silimy się bowiem przywołać na pamięć dawniejsze, świetne wspomnienia tego miejsca i przywoławszy musimy zestawić je z dzisiejszością, mającą tylko popioły i gruzy, albo i tego nawet nie mającą. I przychodzi nam na myśl stara prawda, mogąca służyć za epitaphium dla wszystkich stworzeń na świecie: wszystko co żyje, umrzeć musi.

Więc smutno mi było na archipelagu, mimo, iż czas był piękny, a wiatr pomyślny, mimo iż szafirowe fale tak roskosznie pieściły się ze złotemi promieniami słońca. Tak, mimo to wszystko byłem smutny, bo nietylko ów brzeg Azji, ale wszystkie spotykane wyspy archipelagu przywitały mię pustynią i milczeniem. Ich białe, nagie, skaliste boki wyglądały jak mury twierdz obronnych, a niemających bronić kogo. Wytężałem ucho, chciałem dosłyszeć

chociażby tajemnego gwaru, tajemnego szelestu. Zaklęte milczenie panowało w tych murach. Wytężałem oko, i także żadnego śladu życia znaleźć nie mogłem. Przelękłem się tej cichości i bezruchu. Jest że to więc wielki cmentarz, w którym nie znaleść nic prócz popiołów i kamieni?

Z temi rozmyślaniami udawałem się na sen do mojej kajuty. Zapaliłem świecę, położyłem się na posłaniu i wzrok mój padł na ryciny rozwieszone do koła. Po raz pierwszy przyglądnąłem się im z uwagą. Otóż i dawniejsi mieszkańce Grecji, których z taką tęsknotą szukałem przez dzień cały. Mniejsza o to, że mają attrybuta bogów, są ludźmi na wskróś, ale jakimi ludźmi! Ich ciała harmonijne rozwinięte zdają się być w najdrobniejszym muskule ożywionemi życiem i potęgą. W ich oczach taka mądrość świeci, na ich ustach roskosz tak spokojna, ich twarz jest jak niebo bez obłoku. Tak, tak, to są ludzie, ale czemużby nie mogli być bogami?

Więc naprzód Zeus stanął przedemną, przedstawiciel siły wiedzionej mądrością. Ale mądrość jego to nie owa odziana togą scholasty z biretem na głowę wciśniętym, to nie była mądrość wstrzemięźliwości, ale mądrość umiarkowania i użycia. Żyć, działać, używać, to jest treść tej mądrości. Więc Jowisz jest dalekim od wstrzemięźliwości, a umiarkowanie potrzebne mu tylko jako środek zachowawczy, jako talizman trwałego bytu. Za nim przesuwały się przed memi oczyma postacie nimf i bogiń magnetycznie pociąganych siłą i mądrością olimpijskiego władzcy. A były to istoty z krwi i kości, a »nie z mgły i brzasku« jak tam gdzieś na zmierzchem okrytej północy, i nie lękały się pionowych uderzeń słońca. Były to rozdawczynie roskoszy, ale nie tej co przechodzi natychmiast w delirium, a potem w omdlenie, ale tej co umie trwać jak najdłużej i umie konać bez żalu. Dalej za niemi sunął się cały szereg bogów, wyobrażających z osobna jakąś szczególną siłę i zdolność ludzką, a w całości dających doskonałą harmonję tych wszystkich ubóstwionych sił i zdolności. Na głowach nieśli wieńce z róż i myrtów, w wyciągniętych dłoniach puhary z płynem rubinowym, na ustach zadowolenie użycia.

— Gdzie to ja jestem? pomyślałem, patrząc na ten orszak przesuwający się przedemną w świątecznym pochodzie. Sąż to widziadła, czy istoty żyjące? Więc to wszystko, co było legendą...?

Nie miałem nawet czasu dokończyć tego ostatniego zapytania, bo oto ujrzałem wyraźnie, gdzie byłem i co mię otaczało. Nademną wznosił się chłodny marmurowy portyk z czterech stron na kolumnach oparty i oświecony czerwonemi promieniami zachodzącego słońca. Biała marmurowa podłoga zasypana była różami i bluszczem, i wydawało się, że jest kobiercem przykrytą. Obok wązkich stołów, symetrycznie w koło ustawionych na marmurowych łożach spoczywali bogowie, z głową nieco podniesioną i na ręce opartą. Na stołach stojące puhary, misternej ze złota roboty, igrały z krwawemi promieniami słońca i czerwony odblask rzucały na biały marmur stołu i na srebrne naczynia pełne słodkich owoców i soczystych gron wina.

Ja stałem pośrodku trochę zadziwiony tym widokiem, ale nie przelękły. Portyk wznosił się na wysokiem wzgórzu, więc między kolumnami o bogatych kapitelach korynckich jak między ozdobnemi ramami miałem dokoła siebie rozległe i przepyszne krajobrazy. Winnice zalegały zielonym kobiercem doliny i wzgórza; pomarańczowe ogrody świeciły czerwonawym owocem na tle ciemno-zielonych liści, z oliwnych gajów patrzały spokojne, nieporównanej piękności starogreckie świątynie.

Ale nie mogłem długo rozglądać się w krajobrazach, bo uczułem magnetycznie, iż wszyscy bogowie ciekawy wzrok ku mnie zwrócili. Spojrzałem na nich — obejrzałem się dokoła: na wszystkich twarzach tkwiła wesoła ciekawość, na wszystkich ustach drgał uśmiech zapytania, uśmiech który mi mówił: ach jeśli już tu jesteś, więc powiedz jakiemi drogami dostałeś się tutaj i poco przybywasz?

Wszystkie twarze były piękne, wszystkie twarze były wesołe, ale ja szukałem najmniej pięknej i najmniej wesołej. Znalazłem ją wreszcie; nie wiem czyja to była twarz, ale wiem, że patrzała na mnie bardziej ze współczuciem, niżli wesołością i w składzie ust miała jakby trochę goryczy lub przesytu. Do tego nieznajomego zwróciłem moje słowa.

— Gdzie jestem? — spytałem go. — Co znaczy ta uczta niezwykła?

— Czyś nie odgadł jeszcze — odpowiedział mi, (a głos jego wydał mi się muzyką melodji pełną) Czyliś dotąd nie odgadł, że jesteś na Olimpie, w gronie bogów, których całe życie jest jedną nieprzerwaną ucztą, których wiek jest ciągłą, nieprzerwaną młodością?

— Ja myślałem — rzekłem mu na to, oglądając się do koła i jakby chcąc sprawdzić jego słowa. — Ja myślałem, że to wszystko było tylko wymysłem szczęśliwej wyobraźni, i jeśli kiedyś znalazło żywot w helleńskiej fantazji, to już od dawna wraz z ową fantazją zstąpiło do Erebu wspomnień...

Ledwie tych słów dokończyłem, gdy się rozległ dokoła szeroki, homeryczny śmiech bogów. Ten śmiech podwójnie mię przeraził; naprzód wydał mi się być boską impertynencją, powtóre miał dźwięk tak szklanny i tak się piętrzył do koła mnie kaskadami, iż zdało mi się, że jestem w środku wielkiej fontanny kryształowego śmiechu.

Tylko ten, który zemną rozmawiał nie zaśmiał się wcale, a owszem bardziej sposępniał jeszcze, i kiedy znowu cichość nastała, powiedział do mnie:

— Macie złe wiadomości. Bogowie żyli, żyją i żyć będą. Żadne wasze targnięcie się, żaden wasz cios naukowy nie obali ich istnienia, żywot ich jest jasny jak twarz Apolla, szybki jak strzała Djanny, roskoszny jak usta Afrodyty. Mają co zapragną, bo pragną nie wiele, zawsze pragną choć mają, bo w nadmiar nie wpadli. Tu leży tajemnica ich istnienia.

Mówiący zamilkł, potem po chwili rzekł stłumionym głosem:

— Nic im nie grozi, chyba tylko...

Tu urwał wpatrując się w zamyśleniu w jakiś punkt przed sobą. Mirtowe wieńce zaszeleściły trwożnie na głowach bogów, ich ciała poruszyły się niespokojnie na marmurach. Dreszcz jakiś przebiegł mi ciało.

Jeden z grona bogów o twarzy Hermesa podniósł się na łożu i wyciągnąwszy prawicę ku temu, który ze mną rozmawiał, powiedział z wyrzutem i prośbą:

— I poco masz rzucać cień straszydła na jasne oblicza ucztujących? Poco masz zaprawiać nektar kielichów naszych piołunowym smakiem? Nie kończ; lepiej wychyl za mną toast, który tu wnoszę. Niech żyje Zeus! niech żyje wieczna młodość, wieczna mądrość i wieczna siła!

— Niech żyje Zeus! — powtórzyło śpiesznie grono bogów i złote kielichy zamigotały w powietrzu. Niech żyje Zeus!

Głosy umilkły i tylko echo w oddaleniu powtarzało chwałę Jowisza. Ja stałem nieruchomie, zadziwiony sceną, która się przed memi oczyma odbyła i szukający w myśli groźnego a niedopowiedzianego słowa. (D. n.)

ŚWIAT I SUMIENIE.

Dramat w pięciu aktach

przez

TEOFILA SZUMSKIEGO.

Scena V.

KONSTANTY, ZOFJA.—RADCA, ZŁOTKOWSKI (*wchodzą*).

RADCA (*półgłosem*).

Sama?...

ZŁOTKOWSKI.

I syn twój.

RADCA (*idzie naprzód kłaniając się Zofji*).

A panna Kamila?...

ZOFJA.

W domu... i mama... (*Wychodzi na prawo*).

RADCA (*do Konstantego*).

Więc sam na sam wieczne?

KONSTANTY.

Ach, gdybyż wieczne!

RADCA.

Przynajmniej co chwila
Tu cię spotykam.

KONSTANTY.

Tak, tu co dnia prawie.

RADCA (*do Złotkowskiego*).

I co dnia... Słyszysz? — on się nie wypiera,
Nie wie co ja chcę... on myśli o sławie!

KONSTANTY.

Myślę i milczę, bo to inna sfera,
Która nie daje realnej korzyści.

RADCA (*do Złotkowskiego*).

Otoż to takie spotkania codzienne.

ZŁOTKOWSKI.

On twe nadzieje, sądzę, jeszcze ziści;
Miejże cierpliwość!

RADCA.

Goni mary senne...
Tego, zaprawdę nigdy nie ocenię.

KONSTANTY.

Każdy niech czyni, co każe sumienie.

RADCA.

Co! czy synowskie?

KONSTANTY.

A wszakże syn milczy.

RADCA.

Ba, milczy? — Czeka na ojca śmierć wczesną...
Na jego mienie ma apetyt wilczy!

KONSTANTY.

Ojcze, dotknąłeś mię rzeczą bolesną...
Com tobie zrobił mojem życiem złego?

RADCA.

Złem — jest twój upor.

KONSTANTY.

Czas mieć własne zdanie.

RADCA.

Ty, bez sposobu...

ZŁOTKOWSKI.

Dosyć, dosyć tego,
Zaniechaj, stary, na dziś to gderanie.

RADCA.

Stary? Co stare?... — Dziwne wyrażenie...

ZŁOTKOWSKI.

Dziwny dziś jesteś, niewyrozumiały.

KONSTANTY (*stał zamyślony, bierze kapelusz i wychodząc na lewo do ogrodu, mówi:*)

Tak więc, ja czekam na ojcowskie mienie.

Scena VI.

RADCA, ZŁOTKOWSKI.

RADCA.

Nie jestem dziwak, lecz takiej zakały
Dożyć bym nie chciał, by z mojem imieniem
Człowiek, zszedł na nic. — Jest tylko zawadą,
Ciężarem kraju człowiek, co lub mieniem,
Lub stanowiskiem, a wtedy i radą
Nie służy jemu. — O, to nie dziwactwo!
Syn mój jest chory, głupie myśli pisze,
I psuje gawiedź, to kraju robactwo,
Co wszędzie, zawsze, na porządek dysze.

ZŁOTKOWSKI.

Wiem, że twój synek dobrym byłby w borze
Opryszków wodzem; ja go też nie bronię;
Lecz to, wiesz pewnie, przydać nam się może,
Że ja po jego stawam zawsze stronie
W twej obecności.

RADCA.

Wiem, żeś w tem jedyny,
Lecz czem się tobie mam odwdzięczyć za to?

ZŁOTKOWSKI.

Tem, aby żadnej nie wziął ztąd dziewczyny
Synek, — a chcesz go ożenić bogato,
Chciałbyś do tego skłonić go koniecznie,
Lecz gdy on twojej nie usłucha woli,
To maszże środek? Trzeba zacząć grzecznie,
Niby stać w miejscu, jednak iść powoli.
Jeszczeż nie widzisz, że twoja powaga,
Że dziś w ogóle starszych poważanie,
Zachwiane strasznie? — Młodzież się nie wzdraga
Przed żadnym krokiem... Ukamienowanie
W opinji ludzi nie rzadką dziś rzeczą!...

RADCA.

Któżby się uwieść dał chimery prądem?
Te na wiatr słowa czy chwalą, czy przeczą,
Według mnie, tylko mózgu są bezrządem,
Chociaż chwilowo umysły podburzą.
Ale od czegoż my, i nasze prawo?

Wszak jego stróże i wiernie mu służą,
To jeszcze może nie tak źle z poprawą!...

ZŁOTKOWSKI.
Wracasz do swego, to jest znów do siły,
A to na teraz niepotrzebne jeszcze.

RADCA.
Więc utrzymujesz, że mój synek miły?...

ZŁOTKOWSKI.
Jakkolwiek syn twój ma dziwactwa wieszcze,
To wszystko niczem; lecz najgorsza owa
Ku pannie Zofji miłość zbyt namiętna.

RADCA.
Otoż to właśnie dla mnie troska nowa.

ZŁOTKOWSKI.
A! bo podobno ta dziewczyna smętna
I tobie także?...

RADCA.
Mniejsza o dziewczynę,
Nie ta, to młodsza, ręki mej godniejsza;
Lecz znakomitą zawiódłbym rodzinę,
Gdyby, wiesz moja umowa dawniejsza
Nie miała skutku, i panna Adela
Za Konstantego nie wyszła w tym roku.

ZŁOTKOWSKI.
Bliżej podobno do twego wesela.

RADCA.
Jeszczem nie zrobił stanowczego kroku...

ZŁOTKOWSKI.
Chcesz jak młodzieniec czekać sposobności?
A i przy młodszej stoi już ten drugi!

RADCA.
Jeżeli nie mam już zalet młodości,
To może pieniądz zrobi swe usługi.

ZŁOTKOWSKI.
I stanowisko? — To, to trochę modne...
Lecz nie dowierzaj!

RADCA.
Dziś więc postanowię.

Scena VII.

Ciż, PANI NAŁĘCZ, KAMILA — później ZOFJA.

KAMILA (*za sceną*).
Wszystko, doprawdy, takie niewygodne!...
(*Wchodząc do matki*).
Proszę mameczki, a dobrze na głowie?

PANI NAŁĘCZ (*półgłosem*).
Kamilciu, ślicznie! Lecz teraz patrz, oto
Już nasi goście...

RADCA.
Tak, pierwiej, niż młodzi...

(*Ukłony; siadają wszyscy, po jednej stronie pani Nałęcz i Złotkowski, po prawej Kamila i Radca, mając stół po lewej*).

PANI NAŁĘCZ.
To bardzo pięknie, słowność pierwszą cnotą.

KAMILA.
I czasem mówią: Kto późno przychodzi...

RADCA.
Czy się to na kim dzisiaj sprawdzi może?

KAMILA.
Nie życzę ludziom i małych przykrości;
Lecz o nikogo także się nie trwożę,
Gdyby tak było.

ZŁOTKOWSKI.
Nie dosyć miłości.

KAMILA.
Są mniej lub więcej ludzie dla nas mili.

RADCA.
Nie śmiem dochodzić, którzyśmy z kolei.

KAMILA.
Niech pan przeczuwa.

RADCA.
Przeczucie omyli.

PANI NAŁĘCZ.
Sądzę, że lepiej być dobrej nadziei.

ZOFJA (*wchodzi z prawej, zbliża się do Kamili i mówi zcicha*).
Konstanty wyszedł?

KAMILA.
Ty jego aniele
Stróżu, mnie pytasz?

ZOFJA.
Kamilcia przebaczy,
Już się na przyszłość spytać nie ośmielę.
(*Chce odejść*).

RADCA.
Czy pani z nami zabawić nie raczy?

ZOFJA.
Nasz ogród dzisiaj tyle ma uroku,
Tyle ma woni, szczególniej w tej porze,
Że tambym rada...

KAMILA (*z odcieniem pewnej ironji*).
Tak, piękny o zmroku,
Gdy księżyc wschodzi...

ZOFJA.
Każde dzieło boże,
Gdy nas zniewala do zastanowienia,
Gdy woń nie zmysły, lecz duszę upoi,
Co nie znachodzi słów dla uwielbienia —
To ma swój powab.

(*Wychodzi na lewo do ogrodu*).

KAMILA.
Ona wiecznie roi!

ZŁOTKOWSKI.
Uczucia wiele dla piękna w naturze.

PANI NAŁĘCZ.
Wrażliwość dziecka.

ZŁOTKOWSKI.
Jednak choć nie młody,
Ja pannie Zofji całem sercem wtórzę;
Lubię o wiośnie te małe ogrody.

PANI NAŁĘCZ (*powstawszy*).
Przejść się możemy.

ZŁOTKOWSKI (*podając rękę*).
Służę pani chętnie.

(*Wychodzą na lewo do ogrodu*).

Scena VIII.

KAMILA, RADCA.

(*Kamila chce się oddalić za matką i Złotkowskim*).

RADCA.
Pani łaskawa...

KAMILA.

Jestem tutaj, panie!

(*Po chwili patrząc w oczy Radcy, żartem*).

Czemu pan radca tak spogląda smętnie?

RADCA.

Dla czego do mnie takie zapytanie?

KAMILA.

Dla czegoż prawdę każą mówić starzy?

RADCA.

A czemuż młodzież dziś zanadto śmiałą?

KAMILA.

Odwaga młodym tak bardzo do twarzy;
Potem, kto śmiały, ten zwycięża z chwałą.

RADCA.

Śmiałość, nie przeczę, rzecz bardzo chwalebna.
Ale gdy ślepa — przymiotem szaleńców!
Rozwaga temu koniecznie potrzebna,
Kto nie chce hańby zamiast chwały wieńców.
Więc chciej mię pani posłuchać przez chwilę
Z całą uwagą.

(*Po krótkim namyśle*).

Jesteś pani młoda,
Już jednak, sądzę, znasz życie o tyle,
Że nie zaprzeczysz, iż młodość, uroda
I uniesienia uroczej młodości
Przeminąć muszą. — Coż kobietę czeka,
Co szuka szczęścia jedynie w miłości,
Choćby z ubogim?

KAMILA.

Co!?...

RADCA (*powolniej*).

Oto opieka
Dam dobroczynnych, po prostu jałmużna,
Bo mąż na starość w pracy nie wydoła;
I żona także mniej skrzętna, usłużna,
Bo w nędzy stracił mąż postać anioła.

KAMILA.

Szyderstwa trochę.

RADCA.

Jest to prawda szczera,
I zaraz skończę. — Coż więc pani woli,
Czy los kobiety, która w nędzy zmiera,
Czy los kobiety, która o swej doli
Wcześnie pomyśli?

RAMILA.

Czy to zapytanie?...

RADCA (*jakby nie słyszał*).

Dobrze rozważa, i swe przyszłe szczęście
Powierza temu, który byłby w stanie
Los jej zapewnić przez to jej zamęźcie?

KAMILA.

Są różne szczęścia.

RADCA.

Lecz z zadowolenia
Wypływa wszelkie; obfitość warunkiem...
Są zaś szaleni, dla których cierpienia,
Choć w przywidzeniu najmilszym są trunkiem!

KAMILA.

Dolegliwości nie cierpliwie znoszę.

RADCA.

Każdy mniej więcej; ale z tego wnoszę,
Iż rzeczywistość jest pani żywiołem,
A więc otwarcie wyznam o co proszę:
O rękę pani...

KAMILA.

I pan mię z aniołem,
Z gwiazdą na niebie, z słońcem albo kwiatem,
Mnie, nie porównał? Czyliż mam w istocie
Z tak prozaicznym połączyć się światem?

RADCA.

Choć prozaiczny, zna on uciech krocie.
Ale od żartu powracam do rzeczy;
Więc racz mi pani odpowiedzieć na to,
Czy chcesz łaskawie oddać się mej pieczy?

KAMILA.

Ach, panie radco, nie jestem bogatą.

RADCA.

Panno Kamilo, ja nie jestem młody,
I jeśli pani zechcesz być mą żoną,
Powiedz, a pani, oprócz swej urody
Będziesz mieć pieniądz i dłoń doświadczoną.
Jednem i drugiem — słowo nie cofnięte —
Rozrządzasz pani.

KAMILA.

Słyszałam i wierzę,
Lecz nim się złoży przyrzeczenie święte,
Powtórz pan wszystko przed mamą tak szczerze.
A ja — rozważę... pomyślawszy — powiem...

(*Wychodzi na lewo do ogrodu*).

Scena IX.

RADCA (*sam — patrząc za odchodzącą Kamilą, zbliżył się ku drzwiom do ogrodu*).

Moje więc będą te dziewczęce wdzięki!...
Dziw, myśl rozkoszy przeszywa mię mrowiem.

(*Po chwili*).

Tak się tem cieszę, jakbym nie wart ręki
Dziewczyny biednej. — Wszakże to w istocie
Ja uszczęśliwiam, ale nie mnie ona.
Wprawdzie nie miljon znajdzie, ani krocie,
Jednak dostatek. Wreszcie radcy żona!
Nie dośćże dla niej szczęścia i zaszczytu? —
Powinna za to dochować mi wiary,
Strzedz mego domu, abym ja od świtu
Nie był dręczony, że w domu bez miary
Sługi i dzieci pracę moję trwonią.

(*Zbliża się ku drzwiom ogrodowym*).

A! syn — niewdzięcznik... ze siostrą Kamili,
I wiecznie razem! i zawsze gdzieś stronią
Od towarzystwa!... O, nie ma i chwili
Już do namysłu, skończyć raz potrzeba!
Niech wie stanowczo, gdzie ma szukać żony!
Niech tej nie łudzi a szuka raz chleba.

(*Postępuje ku drzwiom*).

Gdybym im ujść mógł ztąd nie postrzeżony.

(*Wychodzi do ogrodu spotykając prawie w progu Konstantego z Zofją*).

Scena X.

KONSTANTY, ZOFJA (*z ogrodu wchodzą*).

ZOFJA.

Ojciec ponury.

KONSTANTY.

O, i ma znaczenie
Jego ponurość. — Tutaj, wobec świadka
Powiedział do mnie: „Czekasz ty na mienie
Moje, śmierć moją.“ — Otóż i zagadka

Już rozwiązana wielu, wielu rzeczy;
On mię posądza, mnie, prawie o zbrodnię...
Zadaje ranę, której nie wyleczy,
Raz nieufności zażegłszy pochodnię.

ZOFJA.

Ale jak mogła Kamila — to młode
Dziewczątko prawie, przyjąć oświadczenie
Twojego ojca, zaprzedać swobodę?...

KONSTANTY.

Jakto? Co Zofjo! czy żartu wspomnienie?

ZOFJA.

Nie! — to się stało przed chwilą, tu właśnie.
Kiedy przybiegła do nas, do ogrodu,
Zaczęła szeptać, że dzisiaj nie zaśnie
Z wielkiej radości; że już tak za młodu
Rozumnie myśli o swem przyszłem szczęściu,
Że radcy żoną, twą matką zostanie.

KONSTANTY.

Więc jak o lalce, myśli o zamężciu?...
Nad marzeniami jej, w grobie, świeć Panie!
Świeć nad tym grobem, który bez przyczyny
Nad ułudami młodzieńczemi wznoszą;
Ileż weń dzieci wtrącono bez winy,
Z tą miłośników spokoju roskoszą.

ZOFJA (*spojrzawszy w stronę ogrodu*).

Tu idą wszyscy.

KONSTANTY.

Tu? — więc do widzenia!

ZOFJA.

Rychłoż z powrotem?

KONSTANTY.

Dziś może nie wrócę;
Ubolewaniam zmienić położenie
Czyliż możemy?

ZOFJA.

Dla tego się smucę.

KONSTANTY.

O, nie przed czasem; czynów wykonaniem,
Jutro trudniejszych — począć, to zadaniem!

(*Pożegnanie krótkie. — Konstanty wychodzi*).

Koniec aktu pierwszego.

(C. d. n.)

Przegląd pism czasowych.

(Ciąg dalszy.)

Ku czci i chwale niewiast naszych przyznać należy, iż one głównie interesują się piśmiennictwem ojczystem. Gdyby nie polki świat nie znałby polaków! Bo czemże dzisiaj możemy się dać poznać światu? czem mu dorównać możemy, stanąć w rodzinie narodów, jeśli nie słowem ojczystem, jeśli nie piśmiennictwem polskiem? Matkom - polkom zawdzięczamy, że synowie mają w sobie miłość rzeczy ojczystych; żonom-polkom, iż ich mężowe nie zapominają mowy ojców; dziewicom-polkom, że dźwięczna mowa polska w ich ustach zachwyca, czaruje i zmusza do zajęcia się nią i jej ukochania!... Przerażającej nagości prawdą jest, iż z małemi bardzo wyjątkami, mężczyźni nasi nie czują potrzeby czytania. Młodzież — strojne lalki — wśród mętów życia, nie ma czasu na czytanie; w wieku dojrzałym lubimy wiele rzeczy, ale do ich liczby książka nie należy, chyba ta, która służy do drzemki poobiednej; na starość czytujemy gazety, kalendarze; a w późnym wieku: książkę do nabożeństwa. O literaturze, jej wzroście, rozwoju któż myśli? Garstka piszących, nieco księży i — kobiety. Polkom to jedynie zawdzięczyć mamy, że jesteśmy polakami; kobietom naszym, że słowo polskie żyje, że nie zginęło wraz z utraconym bytem samoistnej Polski. Słusznie więc należało się tej lepszej połowie polskości pismo dla nich wyłącznie poświęcone; dla tego też z gorącą sympatją powitaliśmy „**Kalinę**“ krakowską, dla tego tak wysoko poważamy ludzi, którzy swe zdolności poświęcili pracy na tem zasług polu. Obrali oni sobie ową lepszą cząstkę biblijną, i doczekają się pociechy, że szlachetne ich usiłowania zapoznanemi nie będą, że wiele serc czystych i duchów prawych w narodzie błogosławieństwem otoczy głowy pracowników, którzy wytrwale oddają się pracy, nie zrażając się niepowodzeniami. „Kalinę“ zaliczamy do pism polskich redagowanych poczciwie; widzimy w niej wiele, bardzo wiele dobrych stron, i ze zgorszeniem zapisujemy na tem miejscu, iż pismo tak sympatyczne, tak wielki cel do osiągnienia mające, nie zdołało pozyskać sobie współpracownictwa wszystkich pisarzy polskich. Jest że pomiędzy nimi chociaż jeden, którenby nie był przekonanym, że naszym kobietom winni jesteśmy niemal wszystko? Któren że z nich może nie poczuwać się do obowiązku wywdzięczania się im za to? A droga najprostsza do złożenia tej podzięki naszej, to: współpracownictwo w piśmie, poświęconem dla kobiet, a takiem jest „Kalina.“ Młode dłonie wzniosły skromny ołtarz czci niewiasty polskiej — wielcy i mali nieśmy nań dary nasze! nie dopuśćmy, by ogień ofiarny tlał tylko w iskierce, bowiem bogini zasługuje, ażeby wielką zabłysnął łuną. Dług narodu zaciągnięty u polek wypłaćmy daniem im pisma, które byłoby godnem matek, żon i sióstr naszych, chroniących nas od duchowej śmierci. Współpracownictwa w „Kalinie“ wymagamy od naszych pisarzów, uważając to za ich obowiązek, którego niespełnienie, grzech za sobą pociąga.

Bez zasobów pieniężnych, własnym pozostawiona siłom, redakcja „Kaliny“ nie była w stanie postawić odrazu pisma w zupełności odpowiadającego wymaganiom... Wychowanie kobiet — zadanie wielkie! więc też go nie łatwo wypełnić; ale widzimy w tem piśmie: dobrą wolę, chęć poczciwą, i to usiłowanie połączone z wiarą, które przenosi góry. Talent tu widoczny na każdej karcie, doborowi rzeczy prawie nic zarzucić nie można; a przecież redaktorowie — to ludzie młodzi!... a jeśli przejrzymy listę współpracowników ich pisma, nie ujrzymy pomiędzy nimi sławnych. Ci nie czuli potrzeby zagoszczenia w kolumnach pisma poświęconego kobietom!... A mimo to patrzmy! pismo ma swoją wartość, nie jest bez znaczenia... Czegoż to jest dowodem? Oto, że mamy wpośród nas dużo siły zdrowej, że w tej ziemi każda jej piędź chowa skarby nieprzebrane — tylko woli dobrej, tylko pracowitej ręki, by złotą wydostała rudę! tylko nam więcej serca, więcej nie codziennej myśli, i pracy, pracy! bez której nic nie będzie, bez której będziemy niczem.

Czuć się daje w „Kalinie“ pewna oschłość w rubryce rozpraw i szkiców wychowawczych i społecznych — niejako: napuszystość powagi... Jak najmniej morałów! bo te nie zbudowały nikogo, a nasza kobieta wcale ich nie potrzebuje; głęboka moralność jest już jej wrodzoną, życie tylko późniejsze, płochość polkom właściwa — wyradzają złe wielkie, i nie rzadko prowadzą na bezdroże. W to uderzyć powinna „Kalina,“ a tu zdziałać wiele może powieść; znowu nie morał w założeniu, jak to się często u naszych autorek

zdarza; ale to, co przebiegiem swym całym wskazuje prawdę, co w swoim wyniku daje rzecz bez zastanawiania się nad nią, bez dochodzeń głębokich. Nie spotkaliśmy się również w „Kalinie“ jeżeli się tak wyrazić wolno: z ideałem ziemskiej kobiety, z kobietą, jak ją przedstawia np. Dickens, ten niedościgniony mistrz, któren ziemię w niebo przemieniać umie!... W ogóle chcielibyśmy mieć w piśmie kobiecym powieść na pierwszym planie. Za jej dopiero pośrednictwem nauka życia daną być powinna. Droga to najkrótsza i niewątpliwie do celu wiodąca.

Pismu kobiecemu u nas przypisujemy tak wielkie znaczenie, że określając, jakiem ono być powinno? prawdopodobnie zapisalibyśmy nie jedną kartę papieru... Chcielibyśmy naprzykład, ażeby takie pismo, oprócz swej części wychowawczej, miało należycie wypełnioną rubrykę sprawozdań o życiu kobiet w ogóle, polskich zaś w szczególe... Wymaganie to jednak za wielkie, i dla tego ograniczamy się na żądaniu od „Kaliny“ korespondencyj przynajmniej z główniejszych ognisk życia polskiego — a więc i ze Lwowa. W życiorysach, by znalazły poczesne miejsce wspomnienia i o polskich kobietach... Należałoby wreszcie zwrócić się do rzeczy chociaż prozaicznych, nie mniej jednak w życiu kobiety odgrywających rolę niemałą... A jakkolwiek to do pisma kobiecego nie należy, dla braku odpowiedniego organu w Krakowie, nie od rzeczy byłoby podawać nam szczegóły o życiu dzisiejszem starej stolicy, o której wiemy tak mało, że nakoniec będziemy musieli uwierzyć złym wieściom, iż stary Kraków zdziecinniał.

Ponieważ „Kalina“ głównie ma przystęp do kobiet, powinna zatem i jest to jej obowiązkiem: zaznajamiać swoich czytelniczek z tem wszystkiem, co się ukaże w świecie piśmienniczym polskim, ażeby nie spotkać się ze słusznem zarzutem, iż nie wie nawet o nowopowstałych i istniejących pismach polskich.

Staruszek „Czas“ jedną po drugiej przegrywając bitwy, w recenzjach teatralnych na głowę został pobitym przez „Kalinę,“ która tę rubrykę prowadzi dość umiejętnie, a miałaby większą zasługę, gdyby się mogła wyemancypować od śmiesznych frazesów: „nasz sławny, nasz nieporównany“ i t. d. Zostawmy to „Czasowi,“ który w razie potrzeby umie nawet z profesora (?) *St. Romana* robić chociaż nie naszego, ale zawsze wielkiego człowieka.

„Przegląd polski“ wychodzący w Krakowie odznacza się pomiędzy innemi czasopismami polskiemi — pięknością wydania; ale treść jego pozostawia wiele do życzenia. Przedewszystkiem uderza w „Przeglądzie“ chwiejność przekonań, a raczej zupełna dyzharmonja pomiędzy pracami umieszczanemi w piśmie tak, że słusznie da się tu zastosować stare przysłowie, że gdy jeden artykuł Przeglądu zmierza do Sasa, to drugi z wszelką pewnością: do lasa!

Są rzeczy cenne, ale nie brak i lichot; spotkasz się ze zdaniem sympatycznem, ale tuż zrazi cię pogląd najbardziej wsteczny, a nigdzie nie zejdziesz się oko w oko z redakcją, nie dowiesz jakie jej *credo?* z czem sympatyzuje? czego chce, do jakiego celu zmierza? Może się to czyni z zasady, może „Przegląd“ chce być takim... ale niechajże nam o tem powie, bo inaczej będziemy zmuszeni dziwne to jego zachowanie się odnosić na niekorzyść redakcji, mieć jej to za złe i pismu odmawiać zasługi, na którą zapewne chce zarobić, bo inaczej trudno sobie wytłumaczyć założenie pisma i utrzymywanie go kosztem nie małym!... Chcemy, by „Przegląd“ wyraźnie powiedział: czy jest za p. Szujskim? lub czy podziela zdanie p. Tarnowskiego, albo rzecznikiem jego jest p. Powidaj czy też inny ze współpracowników?... bo każden z tych panów niemal inne o rzeczy żywi przekonanie i wypowiada się inaczej. Od pisma wymagamy konsekwencji, postawienia zasad i ich obrony, lub wyraźnego wywieszenia na sztandarze: „Naszą zasadą — brak zasad!“ Wtedy będziemy wiedzieli z kim mamy do czynienia; a dziś z bezbarwnością „Przeglądu“ pogodzić się nie możemy, jak się z nią nie pogodził kraj, zimno przyjmujący pismo od początku.

Nie tykamy przeglądów politycznych, z któremi niechaj się rozprawiają pisma specjalne, ale Przegląd literacki nie zadawalnia nas wcale, a w każdym razie nie daje pismu prawa do nazwy „Przeglądu“ i to „Przeglądu polskiego“. O ileż mniej dokładnie od „Przeglądu“ rubrykę tę prowadzą inne nasze pisma? „Gazeta Narodowa“, „Czas“, „Dziennik Poznański“ nie skrzętniej że zapisują w swych kronikach każdą nowość literacką polską? A „Biblioteka Warszawska“ o ileż bardziej wyczerpujące daje sprawozdania z dzieł nowych, chociaż się „Przeglądem“ nie nazywa? Jeżeli pismo krakowskie chce godnie odpowiedzieć swemu zatytułowaniu, niechaj się mniej wdaje w sążniste artykuły krytyczne, które chyba siebie krytykują, w przeżuwane gadaniny o carach i carycach — a skrzętnie i pilnie zapisuje każden najdrobniejszy szczegół odnoszący się do życia narodu, niechaj się zdobędzie na sumaryczny pogląd, którenby nas oświecił: jakimi jesteśmy? pouczył: jakimi być mamy? Niechaj się gorliwiej zajmie bibliografją i krytyką, której brak wielce uczuwać się daje u nas. A niech też co powie nam niekiedy o Krakowie! bo to rzecz szczególna, że o tem mieście „Przegląd“ zdaje się nie wiedzieć wcale! Miałżeby chęć ignorowania życia starej stolicy?...

Od „Przeglądu“ wymagamy, by interesował się wszystkiem, znał wszystko, o każdej rzeczy doniósł nam i powiedział o niej swe zdanie; inaczej będzie to li pismo zbiorowe, jak dotychczas, ale nie „Przegląd“.

„Przegląd“ krakowski istnieje już rok drugi; a czy daje on dokładne wyobrażenie o naszem życiu w ogóle?

Czy odpowie na pytanie: w jakim idzie kierunku naród polski? w jakim każda z prowincyj? Jaki jest materjalny i moralny stan jego obywateli? Co się dzieje z literaturą? jakiem jest wychowanie publiczne i t. d. Na to wszystko „Przegląd“ bardzo skromnie, lub nie odpowiada wcale; a czy to przemawia na jego korzyść? nie, zaiste!

Wszelki „Przegląd“ ma zadanie wielkie; ale „Przegląd polski“ o ileż większe! Wszakże to strażnica na przód narodu wysunięta! jej bacznej uwadze nic ujść nie może; wewnątrz i na zewnątrz patrzy, notuje, zawiadamia, ostrzega, daje hasło — prowadzi... Takiem ma być pismo! a czy jest niem „Przegląd“? Odpowiedzią to, co piszemy. Obowiązkiem że „Nowin“ czy „Przeglądu“ było oświecić kraj: jakiemi są istniejące obecnie pisma czasowe polskie, które pod pewnym względem zajmują w narodzie przodujące stanowisko? Myśmy czekali, i podejmujemy się pracy wtedy dopiero, gdy i na wezwanie nasze nie odpowiedziano jak tylko milczeniem. A ze smutkiem dodać należy, że czekamy jeszcze na wiele innych rzeczy, których spełnienie niestety! nie leży w naszej mocy. Czekamy: podniesienia naszego piśmiennictwa z upadku; czekamy na głos krytyki, która by umiała ocenić zasługę, a surowo skarciła wyzyskiwanie; czekamy na pogląd trzeźwy, na sąd nie namiętny wydany o rze-

czach dotyczących narodu, jego życia wewnętrznego i łączących go stosunków z narodami bratnimi... Wiele, wiele jeszcze chowamy życzeń, których spełnienie niewątpliwie zawisło od mocy wyższej, ale nie mniej też i od naszych usiłowań.

Bez ogródek wypowiadamy nasze zdanie o „Przeglądzie" tem mniej mając dlań pobłażania, że warunki jego bytu wcale nie są tego rodzaju, ażeby tłumaczyły niedostatki pisma. Wydawca współpracowników opłaca, słyszeliśmy nawet, że dość dobrze — ma więc prawo żądać po nich dokładniejszego prowadzenia rubryk „Przeglądu" i być nieco oględniejszym w wyborze prac zamieszczanych w piśmie. Każde czasopismo traci na tem jeżeli nie ma szerszej liczby współpracowników; a w „Przeglądzie" spotykamy zawsze jedne i też same nazwiska... jakby to pismo stało się wyłączną własnością kilku, a redakcja nic nie wiedziała o innych pisarzach. Prawdopodobnie nicby na tem „Przegląd" nie stracił, gdyby np. obok artykułów pp. Szujskiego, Kalickiego znalazły się prace pp. Tatomira, Romanowicza, lub innych pisarzy. Familja — rzecz arcy szkodliwa dla każdego pisma!

Istnieje w Krakowie rodzaj pisma ludowego p. t. **„Nowiny ze świata"** które: dla czego są wydawanemi, nawet dość ozdobnie? odpowiedzieć nie umiemy. Ani w niem polityki, ani nauki; moralność kaznodziejska, wiadomości nicpotem i ciężkie sentencje, a na czele wizerunek Chrystusa (!), podpis: „Niech będzie pochwalony" i tuż, jak w nr. 10: „Zalegających (?) prenumeratorów o nadesłanie należytości uprasza się"... Ma to być po polsku, i oznaczać, że oddajcie Bogu co jest boskiego, a redakcji co jest redakcyjnego... Do czego, pytamy, takie pismo przydać się może? gdy w niem zgoła żadnej treści, co najbardziej uderza przy zestawieniu z innemi pismami dla ludu. Włościan ono niczego nie nauczy; trudno nawet przypuścić, by mogło być przez nich czytanem, gdy nie dopatrujemy nawet usiłowań redakcji dla tego, ażeby być przez lud zrozumianą... Doprawdy, szkoda czasu i wprawdzie nie atłasu, ale bibuły, którą wydawca może daleko korzystnej zużytkować.

Jesteśmy za pismami ludowemi, i oby ich było jak najwięcej! ale nigdy za takiemi, jak „Nowiny ze świata" które są prostem zmarnowaniem czasu i przyborów drukarskich.

Rozmaitości.

* Wielu może znajdziemy przeciwników, ośmielamy się jednak powiedzieć, że naszem zdaniem, Bethowen nie nadaje się do gry kobiecej. Jest coś co nas razi, co źle usposabia, ilekroć razy słyszymy dzieło tego mistrza wykonane przez kobietę. Kompozytor to na wskróś męzki, pełen tej siły i potęgi, z którą duch kobiecy łamie się napróżno. Jeśli kobieta będzie w stanie pojąć wszystkich mistrzów i dzieła ich wykonać należycie — to jeszcze znajdzie się Bethowen, którego dosięgnąć nie potrafi! To nasze zdanie, i dla tego przyznając grze panny Złobickiej wiele — nie powiemy nic o udziale jej w *Trio* D-dur, odegranem na ostatnim koncercie Towarzystwa muzycznego, któren świetnością swą ustępując poprzednim, nie mniej jednak zadowolił publiczność.

Pan Wysocki odśpiewał tym razem *Dziad i Baba* Moniuszki z jemu tylko właściwą prawdą deklamacyjną. *Cavatina* z *Ernaniego* zostawiła w wykonaniu nieco do życzenia.

Solo Briccialdego na flet, pomimo oklasków, nie zachwyciło nas wcale. Od fletu wymagamy więcej, aniżeli, co dał nam p. C.

Serenada Stainleina na cztery wiolonczele, chłodno została przyjęta.

„L'esperance" Rossiniego — chór kobiecy zakończył wieczór, i dokładnością wykonania i sympatycznością głosów wynagrodził nam nie jedną chwilę zawodu, która nas głównie spotkała w nr. 4... Deklamacja! — Wszak to najtrudniejsza ze wszystkich sztuk! a znajdują się tacy, którym ona niczem się zdaje... Pannie Popielównej darowujemy sił swych przecenienie; ale ci, którzy ją o deklamację prosili — ci winni za nią. Wątpimy czy p. P. będzie kiedykolwiek w stanie dobrze deklamować — ale dziś jest to jej stroną najsłabszą.

* Dary na fundację imienia ś. p. Karola Szajnochy doszły do sumy 14.207 złr. 61 cent. w gotowiźnie i 2.550 złr. w efektach. Komitet fundacji wydał pod dniem 18. maja odezwę, w której uprasza dotyczące osoby o jak najrychlejsze przysłanie uzbieranych już dotąd kwot, na ręce pana Szymona Krawczykiewicza we Lwowie, a to w celu, aby kwoty te mogły być bezwłocznie na prowizję lokowane. Zamierzając bowiem w jak najkrótszym czasie wprowadzić rzeczoną fundację w życie, potrzebuje komitet przy układaniu aktu fundacyjnego ewidencji całego uzbieranego dotąd kapitału.

* Dnia 16. Maja odbyła się wielka uroczystość założenia nowego teatru czeskiego w Pradze. 200.000 ludności ze wszystkich kończyn Czechji, wielka ilość gości przybyłych z różnych krain słowiańskich przyjmowało udział w uroczystości. Mowę miał p. Sladkowsky, którą lud przerywał stutysięcznymi okrzykami „Sława ojcom naszym!"

* „Gazeta przemysłowa" wydawana w Krakowie przestała wychodzić dla braku prenumeratorów.

* (Teatr.) Po ustąpieniu pani Nowakowskiej ze sceny, przedstawienia teatralne nie zasługują, by się niemi zajmowało pismo. O występach p. Teksla z Warszawy również nie możemy nic powiedzieć, bo dyrekcja nie dała mu dotychczas występu w roli właściwej. P. Teksel jest amantem i bohaterem.

* Teatr krakowski wyjechał już do Poznania. Repertoarz świetny, chociaż nie obeszło się bez sztuczek w guście ludzi wierzących w doskonałość Paryża. Żałować należy, że Kraków nie pozyskał p. Teksla dla siebie. Słaby jego personal męzki wzmocniłby się znacznie tym artystą.

* Nie braknie pogłosek, że o teatr lwowski po p. Miłaszewskim, ubiegać się mają hrabiowie J. Fredro i W. Borkowski. Gdyby się to sprawdziło — wiemy jakim byłby biedny nasz teatr!

* Pan Jagielski w Poznaniu wydał zupełny zbiór utworów Wł. Syrokomli (Kondratowicza), jak utrzymywały osoby kompetentne: bezprawnie, z krzywdą sierot zmarłego. Na zarzut miał odpowiedzieć wydawca w „Dzienniku Poznańskim" z r. u., że zapłacił rodzinie poety umówioną sumę. Tymczasem najnowszy nr. „Biblioteki Warszawskiej" zwykle dobrze poinformowanej, ponownie występuje z zarzutami przeciw wydawcy... które spowodowały zatrzymanie rozsprzedaży dzieł nakładu w księgarniach, nie chcących przyczyniać się do uszczerbku mienia sierót.

Pozostaje teraz p. Jagielskiemu wyjaśnić ostatecznie raz sprawę całą w dziennikach tak warszawskich, jak i lwowskich, by nie trzymać dłużej w niepewności, co do praw swych do nakładu, tak księgarnie jak i publiczność.

* Statystyka teatrów londyńskich. Gdy gdzieindziej w całym kraju znajduje się zaledwie kilkanaście teatrów stałych, w jednym tylko Londynie, Anglja liczy 32 teatrów mogących w sobie pomieścić razem 59.863 widzów. Największym jest teatr „Britannia" na 3.823 osób; po nim następują teatra: „Drury Lane" na 3.800 osób; „Astley" na 3.780, „Pavilion" na 3.500, świeżo otworzony temi czasy i bardzo świetnie wyposażony teatr „Standard" na 3.400, i teatr „Victoria" na 3.008 osób. Teatr opery „Royal Italian Opera Covengarden" obejmuje tylko 2.500 osób. Siedm innych teatrów może pomieścić po 2.000 do 2.500 osób; dwanaście po 1.000 do 2.000, a sześć innych tylko po 360 do 800 osób. Najmniejszemi są teatra: „Cabinet" i „Gallery of Illustration." Teatr opery: „Her Majestys Theater," który zgorzał niedawno, liczył 1.655 miejsc. Sceny w pałacu kryształowym i w „Cremorne Grandes" nie są objęte liczbą teatrów londyńskich.

TREŚĆ:

Wydawca i odpowiedzialny za redakcję Kornel Piller. Druk Kornela Pillera.